

*Autor
bestsellerów*

**THE
KILLING**

DAVID HEWSON

**CMENTARZ
TAJEMNIC**



Wiedział, że trzeba się ubrać na czarno. Lekki tani garnitur z supermarketu Standa. Lśniące półbuty. Okulary przeciwsłoneczne, podróbki ray-banów model Predator, skradzione japońskiemu turyście, który dopiero co wysiadł z autokaru na Piazzale Roma.

Rizzo zapalił papierosa, stojąc przy stróżówce obok bramy cmentarza San Michele. Była pierwsza niedziela lipca. Zaczynało się lato, znad nieruchomych wód laguny unosił się nieświeży zapach, a jaskółki świergotały, jakby chciały ogłosić nadejście nowej pory roku. Cyprysy, rząd wykrzykników wzdłuż ściany cmentarza, kołysały się w delikatnych podmuchach wiatru. Z prawej strony w cieniu arkad ułożono starannie jedna na drugiej puste sosnowe trumny. W promieniu słońca padającym na narożnik jednej z nich coś się poruszyło. Mała jaszczurka o nakrapianym grzbiecie wybiegła na spłachetek światła, zatrzymała się na chwilę, po czym uciekła i skryła się w pęknięciu ceglanego muru.

Ot, robota, pomyślał Rizzo. Pieniądze za obejrzenie trupa.

Dozorca cmentarza wyszedł z biura. Tak długo wpatrywał się w papierosa, którego trzymał Rizzo, że ten w końcu go zgasił. Był to niski i gruby czterdziestolatek w przepoconej białej koszuli, o gęstych przetłuszczonych włosach oraz rzadkim wąsiku przypominającym grzebyk złamany na pół i przyklejony nad pulchnymi ustami.

- Ma pan dokumenty?

Rizzo przytaknął i uśmiechnął się niezręcznie. Dozorca patrzył na niego wrogo, jakby podejrzewał, że coś jest nie w porządku.

Rizzo miał dwadzieścia pięć lat, ale w tym ubraniu mógł uchodzić za trzydziestolatka. Tak czy inaczej, wyglądał dość młodo jak na kogoś, kto zgłasza się po odbiór nieboszczyka niczym po bagaż z dworcowej przechowalni.

Wyciągnął dokumenty, które Massiter dał mu tego ranka. Spotkali się w jego wielkim, świetnie urządzonej apartamencie w budynku obok galerii Peggy Guggenheim. Według Anglika papiery nie wzbudzały podejrzeń. Dużo za nie zapłacił.

- Jest pan krewnym? - spytał dozorca, wpatrując się w linijki drobnego druku.

- Kuzynem - odparł Rizzo.

- Nie ma innych krewnych?

- Nikt nie został.

- Hm. - Stróż złożył dokumenty i wetknął je do kieszeni. - Mógł pan poczekać jeszcze cztery tygodnie. Byłoby dziesięć lat. Co do dnia. Widziałem wielu ludzi zjawiających się tu za późno. Mało kogo przed terminem.

- Obowiązki.

Dozorca się skrzywił.

- No pewnie. Zmarli muszą się dziś dostosować do terminarzy żyjących. Nie inaczej. No a jednak... - Posłał mu porozumiewawcze spojrzenie, w którym można było dostrzec cień sympatii. - Pan przyjechał. Ale zdziwiłby się pan, po ilu z tych biedaków nikt się nie zgłasza. Mija im dziesięć lat w ziemi, a potem do miejskiego ossuarium. Nie ma wyboru, wie pan, brakuje miejsca.

Każdy weneccjanin wie, jak to z tym jest, pomyślał Rizzo. Chcesz zostać na San Michele, musisz trzymać się zasad. Ta mała wysepka, leżąca między Murano a północnym brzegiem miasta, była przepelniona. Sławni ludzie, których przyjeżdżali oglądać turyści, spoczywali w spokoju. Wszyscy inni mieli zezwolenie na dziesięć lat. Gdy tylko dzierzawa kawałka gruntu z grobem wygasła, od krewnych zależało, czy przeniosą prochy w inne miejsce, czy zostawią sprawę służbom komunalnym.

Anglik też świetnie o tym wiedział. Z powodów, których Rizzo nie chciał znać, załatwił papiery ekshumacyjne na tyle wcześniej,

by dobrać się do trumny jako pierwszy. Może był jeszcze ktoś inny zainteresowany gnijącym trupem, kto zamierzał odczekać do samego końca dziesięcioletniego terminu. A może nie. Rizzo i tak nie widział w tym sensu. Pewnie chodziło o to, by się upewnić, że w trumnie faktycznie są zwłoki. Tak naprawdę jednak nie interesowało go to za bardzo. Skoro znalazł się facet skłonny płacić dwa miliony lirów za pomachanie komuś przed nosem plikiem podobionych dokumentów, Rizzo o nic więcej nie pytał. Zawsze to jakaś odmiana od wyciągania portfeli ludziom w tłumie na placu Świętego Marka.

- Mamy tu procedury dotyczące takich spraw - powiedział dozorca. - Wszystko musi być na tip-top.

Rizzo poszedł za nim. Minęli schludny zestaw lśniących nowością trumien i znaleźli się w promieniach palącego słońca. Przeszli przez pierwszą strefę cmentarza, w której leżeli zmarli bez terminu ekshumacji, i dotarli do części, gdzie trwał bezlitosny cykl tymczasowych pochówków. Zielonymi płachtami zaznaczano groby tych nieboszczyków, którym kończył się termin i którzy mieli zostać usunięci. Na każdym z malutkich kamieni nagrobnych była fotografia. Ludzie starzy i młodzi, utrwaleni w czasie, patrzyli w obiektyw, jakby wierzyli, że śmierć nigdy o nich się nie upomni.

Mężczyźni zatrzymali się w sekcji *Recinto 1, Campo B* pośrodku pachnącego oceanu kwiatów. Dozorca wskazał jeden z nagrobków z imieniem i nazwiskiem dziewczyny zapisanymi w odwrotnej kolejności, jak wszędzie na tym cmentarzu: Gianni Susanna. Zmarła zaraz po osiemnastych urodzinach. Grób był pusty, ziemia świeżo rozkopana.

Rizzo nie mógł oderwać oczu od portretu w owalnej ramce przyklepionej do marmurowego kamienia. Susanna Gianni była najpiękniejszą dziewczyną, jaką widział w życiu. Zdjęcie zrobiono w plenerze w słoneczny dzień, być może tuż przed śmiercią. Nie wyglądała na chorą. Ubrana w czerwony podkoszulek, z długimi ciemnymi włosami opadającymi jej na ramiona. Twarz i szyję miała opalone, a usta rozchylone w naturalnym, szczerym uśmiechu. Wyglądała jak dziewczyna, która właśnie kończy szkołę - niewinna,

ale ze spojrzeniem kogoś, kto co nieco już przeżył i poznał kilka sztuczek. Rizzo przymknął oczy przesłonięte szklami okularów, próbując uspokoić gonitwę myśli. Wiedział, że to nienormalne, ale poczuł sztynienie w spodniach na widok tej obcej dziewczyny, która zmarła dziesięć lat temu z zupełnie nieznanym mu przyczyn.

– Chce pan ten kamień? – Głos dozorczy przedarł się przez tę trochę straszłą, trochę rozkoszną zadumę. – Jak pan go chce, to pan go bierze razem z trumną. Załatwił pan łódź, prawda?

Rizzo nie odpowiedział. Wepchnął ręce głęboko do kieszeni taniej marynarki i wysunął jej poły przed siebie, zastanawiając się, czy facet coś zauważył.

– Gdzie ona jest? – spytał.

– Niech pan każe sternikowi płynąć dookoła, będzie wiedział, gdzie cumować.

– Gdzie ona jest? – powtórzył Rizzo. Anglik dał mu dokładne wytyczne.

– Mamy takie specjalne miejsce... – powiedział dozorca z westchnieniem, jakby już wiedział, co się za chwilę wydarzy.

– Proszę mi je pokazać.

Stróż odwrócił się i ruszył bez słowa ku opustoszałemu zakątkowi cmentarza. Po prawej przepłynął jeden z wielkich promów kursujących do Murano i Torcello. W rozedrganym powietrzu unosiły się mewy. Gdzieniedzie między nagrobkami chodzili ludzie, niektórzy z nich nieśli kwiaty. Rizzo był tu wcześniej tylko raz – z byłą dziewczyną na grobie jej babci. Atmosfera cmentarza go przygnębiła. Postanowił, że po śmierci zniknie w blasku płomieni, w nagłym uderzeniu ognia krematoryjnego pieca w jednym z zakładów na lądzie. Nie będzie leżeć w suchej ziemi San Michele w oczekiwaniu na termin ekshumacji.

Mężczyźni podeszli do małego niskiego baraku z pojedynczym oknem. Dozorca wyjął z kieszeni klucz na łańcuszku i otworzył drzwi. Rizzo zdjął okulary i wszedł za nim do środka. Jego oczy, atakowane dotąd przez słoneczny blask, zaczęły się przyzwyczajać do mdłego światła samotnej neonówki.

Trumna spoczywała na stojaku pośrodku pomieszczenia – zszarzała, wyblakła i martwa. Wyglądała tak, jakby przez tych kilka lat pod ziemią całkowicie wyschła wraz ze wszystkim, co w niej było.

– Jak mówiłem – odezwał się dozorca – niech pan tu przyśle ludzi. Będą wiedzieli, co robić. Mówię panu, pan nie chce tego oglądać. Instrukcje Anglika były jasne.

– Otwieraj pan.

Dozorca zaklął cicho, skrzyżował ramiona na piersiach i spojrział gniewnie znad trumny w ciemny róg pomieszczenia.

– Nie ma mowy – wymamrotał. – W co ty pogrywasz, chłopcze?

Rizzo sięgnął do kieszeni i wyciągnął dwa banknoty po sto euro. Massiter przygotował go na wypadek nieprzewidzianych kosztów.

– Niech pan posłucha – powiedział. – Gianni to moja bliska rodzina. Zobaczę moją kochaną kuzyneczkę po raz ostatni i już mnie nie ma, w porządku?

– Niech to szlag... – Dozorca schował pieniądze i podniósł oparty o ścianę łom. – Mam zdjąć wieko? A może była ci tak bliska, że sam masz ochotę to zrobić?

Papieros – tylko na to miał teraz ochotę. W małym pomieszczeniu brakowało powietrza. Z wnętrza trumny dobiegał gęsty, przenikliwy odór.

– Zdejmuj pan – rozkazał, wskazując brodą skrzynię.

Dozorca chrząknął, uniósł łom i wcisnął go pod wieko. Robił to, prawie nie patrząc. Otwierał je milion razy, pomyślał Rizzo. To jak praca w rzeźni albo w kostnicy. Po jakimś czasie człowiek zupełnie przestaje się zastanawiać nad tym, co robi.

Żelazne narzędzie wchodziło w spojenia drewnianej skrzyni, za każdym razem powoli unosząc wieko o kilka centymetrów, aż pokazały się pogięte zardzewiałe gwoździe. Dozorca podważył pokrywę ze wszystkich stron i po raz ostatni spojrzął na Rizzo.

– Jesteś pewny, chłopcze? Na zewnątrz, w świetle dnia, same z was chojraki. Ale tutaj, jak przychodzi co do czego, spuszcza cie z tonu.

Rizzo nie lubił, gdy zwracano się do niego „chłopcze”. Powtórzył:

– Zdejmuj pan.

Dozorca ostrożnie umieścił łom pod wiekiem, nacisnął go i pokrywa się uniosła. Drewno pękło na dwie części z nagłym przeszywającym trzaskiem. Rizzo podskoczył mimo woli. Cząstki kurzu uniosły się w powietrze wraz z natarczymym, ohydny smrodem, w którym dało się wyczuć ludzki składnik. Tylko jedno spojrzenie, pomyślał. Tylko tyle żądał Anglik.

Nachylił się i popatrzył do środka. Twarz dziewczyny skrywał cień. Długie włosy były teraz szare, cienkie i suche. Leżały po obu stronach czaszki, upstrzonej resztkami ciała przypominającymi skrawki starej brązowej tkaniny. W oczodołach też coś tkwiło. Rizzo nie chciał pochylać się zbyt nisko. Pozostałości torsu dziewczyny oplatały strzępy materiału, który kiedyś musiał być białym całunem.

Naszła go obawa, że nie będzie potrafił odwrócić wzroku od jej czaszki, rozmyślając nad niegdyś piękną twarzą. Erekcja minęła bez śladu. Poczul chłód. Obraz zafalował mu przed oczami. Wcale by się nie dziwił, gdyby nagle zebrało mu się na wymioty – nie z powodu strachu czy obrzydzenia, ale przez niezdrową, dławiącą atmosferę tego miejsca. Zupełnie jakby stał w chmurze prochu powstałej z cząstek wszystkich istot, które w ciągu wieków przekroczyły bramy San Michele.

Nie wpatrywał się w czaszkę zbyt długo. Wychudłe ramiona nieboszczki skrzyżowane były na piersi i – ku zaskoczeniu Rizza – zamykały w objęciach jakiś duży przedmiot, sięgający jej od brody do pasa. Patrzył na niego świadom, że dozorca także się przygląda. Zanim uświadomił sobie wreszcie, co widzi, minęła dłuższa chwila. Susannę Gianni, kimkolwiek była, pochowano z ramionami zaciśniętymi na starym futerale na skrzypce. Obejmowała go czule, jakby tuliła dziecko.

Anglik nic o tym nie wspominał. Kazał tylko popatrzeć na ciało i zjeżdżać. A więc sprawa załatwiona, pomyślał Rizzo. Nikt nie będzie miał przecież pretensji, jeśli przy okazji trafi mi się mały prezent.

Sięgnął w dół i delikatnie rozchyliwszy martwe ramiona, zaczął wyciągać futerał z objęć wyschniętego ciała.

Dozorca spojrział na niego, marszcząc brwi.

- Nie powinienes tego robic.

Rizzo znieruchomiał i westchnął. Był zmęczony tym człowieczkiem, tym miejscem. Sięgnął do kieszeni i wyjął mały, poręczny sprężynowiec, który zawsze nosił przy sobie. Patrząc na grubaska, wcisnął guzik na rękojeści i wąska drzazga ostrza zalsniła w stęchłym powietrzu. Chwycił dozorcę za kołnierz, wpatrując się w jego przerażoną twarz. Pod naciskiem noża sflaczały płat skóry pod powieką stróża naprężył się. Pojawiła się kropla krwi.

- Czego mam nie robic? - zapytał spokojnie. - Przecież nic nie zrobilem.

Grubasek zamarł w milczeniu. Chłopak sięgnął do kieszeni jego marynarki, wyjął tani plastikowy portfel i spojrział w dokumenty. Dozorca mieszkał na północ od niego w jednym z komunalnych bloków dzielnicy Cannaregio. Rizzo mógł tam dojść na piechotę w ciągu pięciu minut.

- Będziesz rozsądny - syknął - albo tu wrócę i sam sobie wyprawisz pogrzeb. Co ty na to?

W szklistym spojrzeniu mężczyzny nie było nic prócz przerażenia. Rizzo puścił go i wrócił do trumny. Uniósł ramiona dziewczyny i wyciągnął futerał. Rękawem marynarki starł kurz z jego powierzchni i na wyblakłej papierowej etykiecie zobaczył imię nieboszczki. Zacisnął rękę na uchwycie. Futerał zaciążył mu w dłoni. Wewnątrz coś było. Może tylko kamienie. W dzisiejszych czasach nawet wariaci nie chowają swoich zmarłych ze skarbami.

Grubasek kulił się w ciemnościach i pewnie żałował, mocząc spodnie, że nie siedzi teraz w domu przy swojej żonce, równie tłustej jak on sam. Rizzo skrzywił się, a potem wyciągnął jeszcze kilka banknotów po sto tysięcy lirów i wepchnął je do kieszeni koszuli dozorczy.

- To twój szczęśliwy dzień, kolego. Załatwiam tu mały rodzinny interes, jasne?

Stróż sięgnął po banknoty i zaszeleścił nimi. Na ich widok odzyskał trochę rezonu. W jakimś sensie w ten sposób wyrównali rachunki. Rizzo nie miał nic przeciw temu. Ludzie i tak okazywali

sobie za mało szacunku. Założył swoje podrabiane ray-bany, odwrócił się i wyszedł.

W drzwiach dobiegło go wołanie:

- Czekaj! A gdzie przewoźnicy? Muszą się teraz tym zająć!

Rizzo odwrócił się ku pękatemu człowieczkowi stojącemu w mroku przy trumnie.

- Jacy przewoźnicy?

- No ci, którzy mają zabrać kości, na Boga! Przecież po to kazałeś ją wcześniej ekshumować, żeby zająć się wszystkim osobiście.

- Nic takiego nie mówiłem.

- Chryste! To co ja mam teraz z tym zrobić?

Rizzo wzruszył ramionami. Marynarka go cisnęła. Nie znoził kupować tanich łachów. Wolał ubierać się w to, co sprzedawali na placu Świętego Marka: rzeczy od Armaniego, Moschino, Valentino.

- A rób z tym, co chcesz - rzucił i spojrzął na niego. Może trochę przeciągnął strunę. Facet wyglądał, jakby miał zaraz wybuchnąć płaczem, a może nawet rzucić się na niego, choć wiedział, że Rizzo ma w kieszeni sprężynowiec, którego nie zawaha się użyć. Lepiej nie zatrudniać pomyleńców na cmentarzach, pomyślał. Ale może tylko oni biorą tę robotę.

- Zamknij się - powiedział. - Wyluzuj. Wyglądasz jak wariat. Straszysz ludzi.

Wyszedł szybkim krokiem i wrócił tą samą drogą, którą przyszedł - przez *Campo B* obok grobu Susanny Gianni. Nie spojrzął ponownie na kamień nagrobny i zdjęcie dziewczyny - coś mu mówiło, że to kiepski pomysł.

Na vaporetto płynącym z Murano było trochę pasażerów. Staął w środkowej, niezadaszonej części statku i szybko zauważył odsuwających się od niego ludzi. Futerał cuchnęła nawet mimo podmuchów bryzy znad laguny.

Łódź zwolniła, później się zatrzymała. Przed przystanią *Fondamenta Nuove*, do której płynęli, odbywały się regaty. Załogi sportowych łódek ścigały się wzdłuż nabrzeża, zachęcane okrzykami widzów siedzących w barach przy molo. Rizzo zaklął na ich widok.

Skrzypce mu ciążyły. Smród się nasilał. Vaporetto kołysało się jak pijak na szarych płachtach fal.

Rizzo przymknął oczy. Gdy je otworzył, znów skierował wzrok na wyspę. Trzy policyjne łodzie zmierzały na sygnale w stronę molo. Nie wierzył własnym oczom. Dozorca, ten gruby pokurcz, nie mógł być aż tak głupi.

Wciąż ściskając uchwyt futerału, przechylił się przez metalową barierkę blokującą wyjście i zwymiotował w tłuste wzburzone wody. Mewy, jakby przychepione do bladobłękitnego nieba, przyglądały mu się z zainteresowaniem. San Michele, biało-zielona plama pomiędzy miastem i niskim mocnym konturem Murano, falowała w oddali. Rizzo utkwiał spojrzenie w jasnym budynku kościoła na wyspie, stojącym opodal przystani. Przysięgł sobie, że już nigdy więcej nie przekroczy jego progu.

Zapamiętaj tę chwilę: święto Wniebowstąpienia, czwartek, piąty maja roku Pańskiego tysiąc siedemset trzydziestego trzeciego. Lorenzo Scacchi, wysoki, przystojny młodzian w wieku lat dziewiętnastu i siedmiu miesięcy, stoi na szerokim kamiennym nabrzeżu San Giorgio Maggiore i spogląda na Zatokę Świętego Marka, gdzie doża odnawia swe zaślubiny z morzem. Na wodzie mnóstwo ludzi. Gondole o barwie nocnego nieba walczą o miejsce przy burcie złotoszkarłatnego bucintoro, który statecznie przepływa opodal Rio del Palazzo kursem na bliźniacze kolumny Marco Polo i San Teodoro oraz górującą nad miastem iglicę kampanili.

Powietrze przebiega drzenie. Mówi się, że doża jest chory i zastanawia się, kto mógłby po nim przewodzić Wielkiej Radzie. Najjaśniejsza Republika waha się między świetnością a rozkładem. Kto ocali miasto? Czy jakiś znakomity geniusz zdoła przywrócić mu chwałę, a plugawe tureckie hordy odeśle z powrotem na wschód?

Tego nie wie nikt. Ale cóż to! Bucintoro skręca, oddala się od filigranowej fasady pałacu i rojnego nabrzeża. Powoli sunie w poprzek zatoki, poruszany uderzeniami setki błyszczących złotych wiosel, które z jego burt wystają niczym odnóża egzotycznego, ozdobionego biżuterią owada. Płynie w kierunku młodzieńca, który stoi w rozkroku, z twarzą ku wodzie, na obmywanym falami nabrzeżu. Ręce wspiera na wąskich biodrach, a jego włosy błyszczą w promieniach słońca. Wioślarze, obrócenii doń plecami, prują wody kanału, przechylając galerę. Następnie statek – ten ogromny, majestatyczny

symbol władzy – zwalnia, dopływa do jasnoszarego brzegu wyspy, gdzie czeka młodzieniec, i zatrzymuje się z gracją. Chłopak stoi pewnie przez cały czas.

„Lorenzo!”, woła doża łamiącym się starczym głosem, w którym jednak wciąż słychać potęgę jego pozycji. „Powtarzam swą prośbę, panie. W imię miłości do Najjaśniejszej! W imię wszystkiego, co drogie naszej Republice! Zastanów się, proszę! Wyprowadź nas z mroku, który nas spowija, ku światłości!”

Samotna chmura przepływa po doskonale lazurowym niebie i przez chwilę nikt nie może dojrzeć konsternacji malującej się na twarzy młodzieńca. Chwilę później nie ma po niej śladu – znika zastąpiona uprzejmym i pewnym uśmiechem, rozjaśniającym oblicze bardzo mądre i szlachetne jak na człowieka tak młodego.

„Pewnie, szefie”, odpowiada chłopak z wyraźnym wiejskim akcentem i skromnym gestem rozkłada ramiona. Radosne okrzyki tysięcy wznoszą się nad laguną niczym grom wymierzony w niebo. Tak zostaje wybrany nowy doża, a wkrótce...

I co ty na to, droga siostrze? Czy teraz przykułem twoją uwagę? Skoro – żebyś chciała czytać moje listy – muszę je pisać w tonie dwupensowych opowiadań, którymi na ulicach handlują nachalni żebracy i kalecy, to wiedz, że tak będę robić. Minął szósty tydzień, odkąd opuściłem Treviso, zrzędzeniem złośliwego losu zamieniony w sierotę. Nie pozwól, bym czuł się samotny na tym świecie. Jesteś mą siostrą, starszą ode mnie o dwa długie i ważne lata. Potrzebna mi twoja mądrość. Potrzebna miłość. Jeden list, na dodatek wypełniony skargami na niestrawność, nie wystarczy mi do szczęścia.

Wracam jednak do opowieści, nim cię ona znudzi! Z tego, co wyżej napisałem, możesz pominąć wszystko prócz początku. W rzeczy samej jest dzień Wniebowstąpienia, a ja faktycznie stałem pod wielkim kamiennym monolitem San Giorgio. Jak długo, powiedzieć nie umiem. Trzeba pisarza lepszego niż ja, by odmalować słowami obraz dzisiejszej Wenecji, porzucę więc wszelkie próby. Wiedz, że jest to miasto cudów. Choć już się z nim trochę obylem, wciąż zadziwiają mnie różne wspaniałości, które, choć przekraczają najśmielsze wyobrażenia, są tu czymś codziennym.

Gdy głowa rodziny ma okazję do świętowania i zdecyduje się sypanąć groszem – och, wybac to wyrażenie! – nie pozostaje nic innego, jak stanąć i podziwiać. Zdaje się, że byłaś tu raz z papą. Sam nigdy nie wypuszczałem się zbyt daleko poza nasze miasteczko aż do smutnego dnia pogrzebu. Dla takiego chłystka z roli jak ja, któremu słoma wystaje z butów, to doprawdy niezwykle miejsce.

Jest tu kilka osób, które chciałbym ci przedstawić. Wyobraź sobie naszego wuja Leona, chudego jegomościa w prostym ubraniu, stojącego nad wodą ze skrzyżowanymi ramionami i przyglądającego się przepływającej obok pałacu wielkiej barce. Wygląda, jakby widział już takie spektakle milion razy i nic pod słońcem nie jest w stanie go wzruszyć. Jest Wenecjaninem, człowiekiem światowym, który nigdy nie poszedłby w ślady naszego drogiego ojca, by wieść spokojne życie rolnika. Widowiska ma we krwi, żyje nimi. Spodziewam się po nim wiele. Będzie, jak sądzę, dobrym opiekunem i wprowadzi mnie w tajniki świata wydawniczego, tak bym mógł zarobić na przyzwoite życie.

Przy jego boku stoi angielski dżentelmen Oliver Delapole, szlachcic i arystokrata mniej więcej w wieku naszego wuja, czyli lat około trzydziestu pięciu, jednak o całkiem innej przeszłości. Pan Delapole jest człowiekiem zasobnym, który nosi się szykownie, może wręcz trochę ekstrawagancko, a odzienie opina mu się nieco na wydatnym brzuchu. Ma miłą, różową twarz, którą szpeci jedynie blizna – jak mi niemam z pojedynku – biegnąca pod prawym okiem sierpowatą krechę. Jednak nie widzę w nim bynajmniej gwałtownika. Przeciwnie, uśmiecha się ujmująco i ma nieskazitelne maniery, przez co każdy mężczyzna – a także kobieta (bądźmy szczerzy, pochodzimy z ludu i mówienie o tych sprawach nie może nas onieśmielać) – rozstaje się z nim w wesołym nastroju.

Spśród mych uwag zapamiętaj szczególnie tę tyczącą się pieśniędzy: to najważniejsze słowo w całej lagunie. Pan Delapole jest wcieleniem Kapitału i z tego powodu pół miasta uczepia się jego mankiету, gdy przechodzi ulicą, mimo że trasy dobiera ostrożnie. W zeszłym tygodniu przyszedł do nas w odwiedziny. Wychodząc, zostawił w sieni kapelusz. Popędziłem za nim z tym kapeluszem

w ręku przez campo z nadzieją, że dopędzę go, nim dotrze do Canal Grande i zamówi kurs do domu u jednego z tych łobuzów gondolierów. Gdy bez tchu dopadłem go wreszcie, spytał miło, nie mogąc powstrzymać się od śmiechu: „Czemu mnie tak gonisz, chłopcze? Czy jestem ostatnim człowiekiem przy groszu w Wenecji?”.

Dukaty otwierają drzwi – i to, szczerze mówiąc, właściwie większość drzwi w tym mieście – a pan Delapole hojnie szafuje złotem. Ponoć rozdaje pieniądze tak szybko, że dziurę powstałą wskutek aktów dobroci przed nadejściem kolejnych sum z Londynu wypełniać mu muszą lichwiarze. Zrozum, że nie jest to żaden zarzut. Jeśli szczęście dopisze, dom Scacchich wyda na koszt pana Delapole’a kilka dzieł nowych pisarzy i kompozytorów. Jak dotąd okazał on hojność panu Vivaldiemu, sławnemu muzykującemu księdzu z La Pietty, podniszczonego kościoła znajdującego się przy nabrzeżu niedaleko miejsca, które ci dziś opisałem. Nie zostawił również w potrzebie tutejszego artysty Canalego (zwanego przez wszystkich Canalettem, by odróżnić go od ojca, który parał się tym samym rzemiosłem). A Canaletto to doprawdy typ człowieka, który zapach srebra potrafi wywęszyć z odległości wielu mil. Gdy piszę te słowa, siedzi przed nami na dużej platformie z drewna i zмага się z płótnem, które zawiśnie na ścianie jakiegoś bogacza.

Dziwny z niego jegomość: zapalczywiec, choleryk, a niektórzy uważają, że i szalbierz. Stosuje aparat własnego, jak twierdzi, wynalazku, zwany *camera ottica*. Chowa go pod czarną płachtą rozpiętą jak namiot, za którą pracuje, wychylając się jedynie co jakiś czas, by się przekonać, czy realny świat wciąż istnieje. Wygląda na to, że aparat rzuca obraz sceny poprzez pewnego rodzaju szklaną soczewkę na wewnętrzny ekran, skąd można go odrysować przed rozpoczęciem malowania. Raz z ciekawości wdrapałem się na platformę, by się przyjrzeć owemu urządzeniu, a artysta wychyliwszy głowę na dźwięk moich kroków, rzucił mi groźne spojrzenie i zaklął w weneckim stylu.

„Jak raz jeszcze jakiś cwaniaczek oskarży mnie o oszustwo, to przysięgam, tak łajzę trzepnę, że mu światło zgaśnie!”, syknął na mnie tytułem ostrzeżenia.

Niezrażony, zerknąłem na mechanizm przez szparę w materiale. Rzecz to niezwykle sprytna.

„Jakże odrobinę nauki w służbie muzy można nazwać oszukiwaniem, panie?”, zapytałem szczerze. „W ten sposób myśląc, trzeba by oskarżyć o to każdego malarza, jeśli nie użył dokładnie takich samych farb, jakie na swych ścianach stosowali Rzymianie”.

To podziałało. Canaletto skinął mi głową w sposób, który uznałem za gest aprobaty.

„Teraz, panie”, dodałem, „będziesz musiał wynaleźć jakiś rodzaj płótna alchemicznego, które samo pod działaniem obrazu nabierze odpowiedniego koloru. Wówczas zbędny stanie ci się pędzel!”.

Usłyszałem złośliwy chichot z ust Gobba, służącego pana Delapole’a, na co wycofałem się i zszedłem ostrożnie z drewnianego rusztowania. Mam nadzieję, że udało ci się w życiu znaleźć przyjaciela. Ja chyba znalazłem. Luigi Gobbo to pokraczny typ mający, wierz mi lub nie, małego garba, na co przecież wskazuje jego nazwisko. Z tego, co wiem, przyłączył się do Anglika, gdy byli we Francji jakiś czas temu. W całej tej grupie Gobbo najmocniej stoi na ziemi i wciąż ma na podorędziu sprośny dowcip tudzież bezbożny komentarz. Gdy poznał moją historię, wziął mnie pod swe skrzydła i przyrzekł, że żadnemu weneckiemu łobuzowi nie pozwoli pozbawić mnie mojej chudej sakiewki. Lubię chłopca, choć wielu podobieństw między nami nie ma. Nasi rodzice, siostra, zapewnili nam podstawy wykształcenia. Przypuszczając, że Gobbo mógł także liźnąć książek, zapytałem, czy nie jest aby spokrewniony ze sławnym Lancelotem czy opuścił podłego Żyda, aby służyć u pana Delapole’a, człowieka z pewnością równie miłego co Bassanio, acz znacznie zamożniejszego*. Gobbo spojrział na mnie jak na szaleńca lub, co gorsza, kpiarza. Angielscy dramaturdzy w jego edukacji nie brali udziału. Niemniej ma na sercu moje najlepsze dobro, a ja jego. W tym mieście można jednak odnaleźć przyjaciół.

* Lorenzo odwołuje się do historii i postaci z *Kupca weneckiego* Williama Shakespeare’a (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

Przejdźmy teraz do poważniejszych spraw (omówię je krótko, więc nie ziewaj, proszę, i nie odkładaj listu). Mija tydzień, odkąd Manzini ostatni raz pisał na temat nieruchomości (a ja zgadzam się, że to nie w porządku, iż musi układać się ze mną, a nie z tobą, lecz takie jest prawo). Nie mam wielkich nadziei. Nasi rodzice dużo zainwestowali w folwark i tę drogocenną biblioteczkę, którą oboje uwielbialiśmy. Gdyby żyli dłużej, ich szczodrość z pewnością przyniosłaby teraz korzyści nam wszystkim. Jako że cholera zdecydowała inaczej, musimy najlepiej, jak się da, rozporządzić tym, co mamy. Chciałbym więc zawrzeć z tobą umowę, Lucio. Bądźmy szczerzy wobec siebie w naszych niepowodzeniach. Mówmy sobie prawdę o tych, którzy nas otaczają. I pracujmy wytrwale, byśmy byli godni nazwiska Scacchi – ty do chwili, gdy jakiś hiszpański śmiałek wykradnie ci je, rzecz jasna!

Kocham cię, Lucio, moja najdroższa siostrzo, i oddałbym całą wieczność weneckich wspaniałości za jedną wspólną chwilę z naszymi rodzicami w starym folwarczku pośród dzikich łąk, gdzie był nasz dom. Nie jest to możliwe, musimy więc patrzeć w przyszłość.

Czekaj! Widzę, że sławny Canaletto znów spogląda gniewnie ze swej grzędę. Wianuszek grubych Holendrów otacza platformę jak stado kaczek i próbuje ją zdobyć, by zerknąć ukradkiem na cenne dzieło. Co za głupcy...

„Przekłęci przyjezdni!”, wykrzykuje artysta, dodając wiązanek wyrafinowanych przekleństw, których nikt poza Cannaregio nie byłby w stanie zrozumieć. „Precz, mordy zakazane, rybni śmierzdziele!”.

„Śmiało, panowie, pomachajcie mu przed nosem florenami!”, woła pan Delapole, ośmielając Holendrów. „Zapach przestaje przeszkadzać Canaletcie, gdy tylko wywęszy monetę w kieszeni!”.

Mamrocząc złowrogo, intruzi oddalają się. Zapewne nasz malarz znajduje się poza zasięgiem ich sakiewek.

Podczas gdy Canaletto wymachiwał za Holendrami pięścią, sam wskoczyłem po kryjomu na platformę i z wielkim zdumieniem zobaczyłem, jak bardzo posunęła się praca nad płótnem w ciągu

zaledwie niecałej godziny. Ten człowiek nie jest żadnym szalbie-
rzem. Myślę, że to będzie znakomite dzieło. Marzę, by pokazać
ci je pewnego dnia, gdy zadomowisz się już w Sewilli i znajdziesz
czas oraz pieniądze na wizytę w swym rodzinnym regionie Veneto.
Sprawdzimy wtedy, o ile zmniejszyły się nasze troski, a zwiększyły
fortuny, odkąd bucintoro wpłynął na surowe płótno Canaletta. Cóż
za talent, tak uwięzić w bursztynie wspaniałą chwilę, by dawała
świadcstwo naszych czasów ludziom nadchodzących stuleci. Ja
mam jedynie moje słowa, a płyną one szczerze z miłującego serca.

VENETIA

Młody naukowiec Daniel Forster przyjeżdża do Wenecji, aby skatalogować bibliotekę kolekcjonera sztuki. Tylko pozornie... gdy pracodawca wysyła go, by od pewnego drobnego złodziejzka kupić stare skrzypce, rozpoczyna się seria oszustw, intryg i morderstw. Daniel zostaje wciągnięty w orbitę wydarzeń związanych z dochodzeniem, w którym przeplatają się wątki pięknej skrzypaczki, tajemniczego weneckiego pałacu i zaginionego arcydzieła koncertowego z 1733 roku.

Dwie rozdzielone wiekami, lecz przeplatające się historie o namiętności, zdradzie i niebezpieczeństwie, ukazują gesty od intryg świat Wenecji ery Vivaldiego i brutalną rzeczywistością współczesnych detektywów.

Od muzycznego geniuszu po morderczą chciwość – David Hewson nieubłaganie zwiększa napięcie, zmierzając do finałowej, oszałamiającej niespodzianki.

Hewson jest obdarzony, nieśmielającym talentem, bez żadnego wysiłku mnoży kolejne sensacje.

Jeffery Deaver



cena 39,90 zł

PATRONAT MEDIALNY

www.portal Kryminalny.pl



BOOKLIPS.PL IIIII